



OSTRZESZOWSKA KULTURA

HISTORIA • SAMORZĄD

redaktor naczelny:
Wiesław Kaczmarek



wydawca:
Ostrzeszowskie Centrum Kultury



*Nie płacz, że coś się skończyło,
tylko uśmiechaj się, że ci się to przytrafiło...*

(Gabriel Garcia Marquez)

Spotykamy na swojej drodze ludzi, dzięki którym odkrywamy kolejne nuty tajemniczego utworu zwanego życiem. Przez ostatnie szesnaście lat odkrywałem wiele pięknych nut, pracując w Ostrzeszowskim Centrum Kultury i spotykając na swojej drodze wiele wspaniałych osób. Przyszedł jednak czas, aby zakończyć ten etap życia. Był to dla mnie szczególny okres i dlatego go nie zapomnę. Cieszę się niezmiernie, że mogłem wpływać na emocje wspaniałej ostrzeszowskiej publiczności,

która wielokrotnie udawadniała, że jest wyjątkowa. Nic tak nie sprawiało mi radości, jak uśmiech, wzruszenie, śmiech, radość widzów. Rozmowy i dyskusje z ludźmi dawały mi ciągłą motywację do tego, aby pracować jeszcze lepiej. Wielokrotnie zdarzało mi się mówić, że to, czym się zajmuję, to nie jest dla mnie praca, ale niesamowita przygoda, która wpłynęła na moje życie. Wraz ze współpracownikami, którym serdecznie dziękuję, zorganizowaliśmy wiele udanych wydarzeń, kształtujących zainteresowanie kulturą i sztuką. Pozostaną one w naszej pamięci na wiele lat.

Warto było wytrwale pracować i konsekwentnie pokonywać trudności, jakie pojawiają się w codziennej pracy. Dziękuję za ten czas! Życzę Państwu wielu chwil szczęścia i powodów do radości, uczestnictwa w wydarzeniach artystycznych, które przyniosą radość i wzruszenie.

Jestem przekonany, iż to symboliczne pożegnanie jest jedynie pewnym etapem, a niedaleka przyszłość przyniesie jeszcze wiele okazji do wspólnego uczestniczenia w życiu naszej lokalnej społeczności.

Z wyrazami szacunku Artur Derewiecki
dyrektor Ostrzeszowskiego Centrum Kultury
w latach 2004-2020

WIESŁAW KACZMAREK - Ostrzeszów

Dziennikarz, kolekcjoner, pasjonat regionalnej historii, fotograf.

Udział w wystawach fotograficznych: w Ostrowie Wielkopolskim, Kaliszu.

Prasa: „Twój Puls Tygodnia”, „Nasze Strony Ostrzeszowskie”, „Fakty Ostrowskie”.

Twórca i pomysłodawca Kwartalnika Ostrzeszowska Kultura - Historia - Samorząd.

Aktor i epizodysta w serialach Polsatu.



Rodzice

Tradycyjnie, do dzisiaj, chociaż już ich nie ma, byli i są moimi najważniejszymi autorytetami. Mama dbała o mnie i siostrę, starając się, żebyśmy przeszli trudne lata 60. w jak najłagodniejszy i piękny sposób, mimo trudnej sytuacji gospodarczej, braków w zaopatrzeniu. Cały czas pamiętam smak smelki na mleku, polewki, chleba z cukrem, lizaków kogucików i raz do roku jednej pomarańczy na Gwiazdkę. Ojciec - rzemieślnik - uczciwy, precyzyjny w tym, co robił (był zegarmistrzem), dawał sobie radę w tamtych czasach i dbał, żeby nigdy nie brakowało jedzenia. Potrafił tłumaczyć i uspokajać. Jako młody człowiek był bokserem z osiągnięciami w wadze koguciej oraz tenisistą. O polityce nie mówił często, jednak jego słowa pamiętam do dziś: Nie zapisuj się nigdy do żadnej bandy - najwyżej do harcerstwa. I tak mam do dzisiaj. Byli piękni oboje, pełni radości. Dlatego z siostrą Ewą często wspominamy okres naszego szczęśliwego dzieciństwa. A moje zainteresowania, miłość do historii, kolekcjonowanie i fotografia (zatrzymać czas - dziś i jutro), rozmowy z ciekawymi ludźmi, miłość do małej Ojczyzny, gdzie mieszkam, oraz Polski - to zasługa rodziców.

Młodość

Gdy w latach 1969 - 79 zamieszkałem we Wrocławiu, miałem okazję pomagać, pracować społecznie w tamtejszych redakcjach studenckich. Bywałem w Piwnicy Świdnickiej i we wrocławskim Klubie Dziennikarza, gdzie mogłem przebywać z ludźmi kultury, tej wysokiej. Wspominam zawsze miło spotkanie i rozmowy z Tadeuszem Rossem, Bogdanem Łazuką i Krystyną Sienkiewicz. To dzięki nim statystowałem w filmie „Motocross” i w innych. Pamiętam do dzisiaj, chociaż były krótkie, rozmowy z A. Wajdą i G. Holoubkiem. Pierwsze lata we Wrocławiu, szczęście poznania wie-

lu wspaniałych osób, zrodziły moją pasję, którą staram się rozwijać do dzisiaj. Wspominam też rozmowę ze Zbyszkim Wodeckim, który - gdy się przedstawiłem - powiedział: Kocham i podziwiam takie osoby jak pan; to miasto ma szczęście, że pan tutaj mieszka.

Autorytet

Jest to pojęcie szerokie, różnie rozumiane i różnie określane przez ludzi. Dla mnie najważniejszym autorytetem jest Papież Jan Paweł II - jako człowiek, który dał naszemu krajowi wolność. Podziwiam go za jego postawę i walkę z chorobami, za cudownie ciepły uśmiech.

Ostrzeszów

Jeżeli chodzi o pracę dla mojego miasta Ostrzeszowa i regionu, to kocham go za piękno, za cudownie mądrych ludzi w nim mieszkających; za to, że czuję dumę i radość z tego, iż to jest moje miejsce na ziemi. W trakcie rozmów z ludźmi, których los rozrzucił po Polsce i świecie, podobają mi się ich zapewnienia: "Kocham Ostrzeszów, kocham moje miasto, dlatego przyjeżdżam co rok. Kwartalnik pod pana redakcją przysyła mi rodzina, zawsze z ciekawością czekam na nowy numer; oprócz historii przedstawia pan młodych i starszych, którzy są znani w świecie, jak fotograf Bartłomiej Busz, malarz Szymon Chwalisz, muzyk Adam Fulara, lider i twórca zespołu Sami Swoi Julian Kurzawa oraz wielu innych".

Ostrzeszów mam zawsze w sercu, jest spełnieniem mojego życia. Zawsze chciałbym w nim mieszkać. To piękne miasto jest moim wyborem.

Wiesław Leszek Kaczmarek
Wywiad dla Głosu Wielkopolskiego 23 lipca 2020



VICTORIA



KLUB PIŁKARSKI • VICTORIA OSTRZESZÓW • ORGANIZACJA POŻYTKU PUBLICZNEGO • KRS NR 0000230702



KP Victoria Ostrzeszów, 63-500 Ostrzeszów, ul. Kąpielowa 5, www.nasza-victoria.futbolowo.pl, e-mail: victoria@ostrzeszow.pl

OD RUINY DO VICTORII

100 lat zorganizowanej piłki nożnej w Ostrzeszowie daje okazję do przedstawienia historii ostrzeszowskiego futbolu. Klub Piłkarski Victoria kontynuuje tradycje Piasta, Budowlanych, Spójni, HKS-u, przedwojennej Victorii i Ruiny. Jednak sport ostrzeszowski ma ponadstuletnią tradycję, już bowiem w 1897 r. założono Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, którego gniazdo w 1900 r. zdobywało medale na zawodach gimnastycznych w Poznaniu i kolarskich w Ostrowie Wlkp. Od lipca 1910 r.

„Sokół” posiadał swój sztandar poświęcony przez biskupa Władysława Bandurskiego na zlocie sokolim w Krakowie. Sztandar ten – rozłożony na części – potajemnie przewieziono z Galicji do Ostrzeszowa. Towarzystwo liczyło już ponad 80 druhów, posiadało w kasie 1800 marek zebranych ze składek, brało udział we wszystkich zlotach drużyn sokolich. Z inicjatywy „Sokoła” powstała sekcja piłkarska mężczyzn oraz drużyna gimnastyczna kobiet odbywająca zajęcia obrazowe i ćwiczenia z szarfami. Druhny i druhowie trenowali na boisku w ogrodzie i sali p. Kahlerta. Potem ćwiczyli na boisku przy gazowni lub na sali „Strzechy” p. Hendrykowskiego. Oczywiście, że w tym okresie zajmowano się już futbolem w pobliskim Ostrowie Wlkp., gdzie w 1908 r. powstała Venetia, a w 1909 r. Ostrovia – jedne z najstarszych klubów w Polsce. Niewielka od-



ległość od tego miasta, odwiedziny krewnych i znajomych sprzyjały propagowaniu nowej, ciekawej dyscypliny sportowej – piłki nożnej. „W październiku 1911 r. w Ostrzeszowie podczas Zawodów Kościuszkowskich, którym patronowało Gimnastyczne Towarzystwo „Sokół”, w finałowym meczu piłki nożnej Ostrovia pokonała Venetię 1:0, a zwycięską bramkę zdobył prawoskrzydłowy Walenty Damasiewicz”. Powyższy zapis, zaczerpnięty z monografii Ostrovii pióra Andrzeja Kempieńskiego, dowodzi, że Ostrzeszów już w 1911 r. żył wydarzeniem sportowym, jakim był turniej piłkarski, w którego finale wystąpiły dwie renomowane jednostki. Było więc boisko piłkarskie i były drużyny pokonane w eliminacjach. Zapewne przynajmniej jedna drużyna reprezentowała gospodarzy, wspomnianą wcześniej sekcję piłkarską sprawnych druhów sokolich, na co dzień ćwiczących „na majdanie” obok gazowni. Lata I wojny światowej nie sprzyjały rozwojowi sportu, a w końcówce wojny młodzi ostrzeszowianie zajęci byli Powstaniem Wielkopolskim, którego ważny odcinek frontu południowego tu właśnie się znajdował. Odrodzenie sportu nastąpiło dopiero w niepodległej Rzeczypospolitej. W 1920 r. powstało Towarzystwo Piłki Nożnej Ruina (nazwa pochodziła od ruin ostrzeszowskiego zamczku). Z tego okresu pochodzi zachowana fotografia Ruiny z młodzieńcami w pasiastych koszulkach i trzyćwierciowych spodenkach. Na odwrocie odnoto-



wano nazwiska: S. Kurzawa, J. Pisulla, F. Sauer, E. Stawinoga, M. Stawinoga, H. Stempin, J. Szymala. W późniejszych latach doszli: Stanisław Bartochowski, Jan Cybok, Idzi Dawidziński, Tadeusz Fabrowski, Franciszek Feige, Roman Gorgolewski, Józef Jarczyński, Seweryn Karasiński, Piotr Ligocki, Heliasz Małyszczuk, Ignacy Perski, Józef Przygoda, Edward Rossa, Józef Szyja, Franciszek Włodarczyk, Zygmunt Woźny. W „Gazecie Ostrzeszowskiej” z 28 czerwca 1921 r. znalazła się notka: „Zawody piłki nożnej drużyny Ruina (Ostrzeszów) a drużyny Polonia (Kępno) odbędą się 29 bm. o godz. 3.00 po poł. na majdanie obok gazowni”. Na majdanie obok gazowni rozgrywali gospodarze mecze towarzyskie z drużynami ościennych miast: Polonią Kępno, Ostrowią i Venetią Ostrów, Pogonią Skalmierzyce, Harcerzem Wieruszów, Sokołem Podzamcze. W maju 1923 r. TPN „Ruina” została członkiem nadzwyczajnym PZOPN zrzeszającym już 39 towarzysów (w tym 6 z klasy A, 6 z klasy B, 18 z klasy C oraz 9 członków nadzwyczajnych klasy C). Wg tygodnika „Sportowiec” Nr 3 z dnia 23.03.1923 r. – oficjalnego organu Poznańskiego Związku Okręgowego Piłki Nożnej, związek w 1927 r. zmienił nazwę na Poznański Okręgowy Związek Piłki Nożnej. Rok 1927 to data powstania w Ostrzeszowie Kupieckiego Klubu Sportowego. Piłkę i dresy sportowe kupili uczniowie zawodu kupieckiego w Kaliszu. Szatnię, a raczej kąpielnię, a raczej kąpielnię do rozbierania, znaleźli w lokalu restauracji p. Konarskiego przy ul. Krakowskiej (dziś gen. Sikorskiego). Swoje mecze rozgrywali na boisku Ruiny obok gazowni, która uzyskała lokalnego sparing-partnera. W sierpniu 1928 r. przekształcili się w Towarzystwo Piłki Nożnej Victoria i zarejestrowali w magistracie miasta Ostrzeszowa. Założycielami Victorii byli: Ludwik Gorgolewski – prezes, Kazimierz Wichnowski – z-ca prezesa, Edward Adamski – kapitan, Wacław Przygoda – z-ca kapitana, Karol Rosada – sekretarz, Walerian Pisulla – z-ca sekretarza, Edward Wójcik – skarbnik. Akces do Poznańskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej zgłosiła Victoria w 1934 r., roz-



poczynając zorganizowane rozgrywki związkowe. W tym okresie połączyła się z TPN Ruina, a następnie z Ostrzeszowskim Klubem Sportowym. Piłkarskie spotkania rozgrywała w klasie C, a następnie B. W drugiej połowie lat trzydziestych stanowiła prężny organizm sportowy, posiadała dwie pełne drużyny piłkarskie, sprzęt dla obydwu drużyn, prowadziła zorganizowane treningi, organizowała spotkania oraz turnieje towarzyskie i uczestniczyła w nich. Największe sukcesy sportowe odnosiła Victoria w latach 1938 i 1939, kiedy po zdobyciu mistrzostwa klasy B uczestniczyła w finałowych rozgrywkach o wejście do klasy A. 26 czerwca 1938 r. podczas uroczystości 10-lecia

KS Victoria zorganizowała turniej piłkarski, w którym zwyciężyła Ostrowia przed Sokołem Kępno, Victorią Ostrzeszów i Polonią Kępno.

Przed samą wojną barwy ostrzeszowskiej Victorii najczęściej reprezentowali piłkarze: Roman Gorgolewski, W. Hertel, Tadeusz Fabrowski, Edward Kurzawa, Stanisław Kurzawa, Ludwik Ławniczak, Tomasz Mamys, Wincenty Michalak, Wacław Przygoda, W. Ratajski, Józef Szyja, Władysław Szyja, Edmund Świtoń, Ludwik Świtoń, Stefan Tomczyk, Zygmunt Woźny.

Wybuch wojny spowodował, że życie sportowe w Ostrzeszowie chwilowo zamarło.

Wojna i okupacja rozproszyła zawodników i działaczy klubu. Z tym stanem rzeczy nie mogli pogodzić się kilkunastoletni chłopcy i młodzieńcy, tworząc tajną harcerską drużynę piłkarską KS Grom. Najbardziej liczący się głos miał w tym gronie Stanisław Staw-





ski. W latach 1941–1943, jak pisał Henryk Więcek w książce „70 lat harcerstwa ostrzeszowskiego”, rozgrywali mecze m.in. z zawodnikami byłych drużyn kępińskich: Sokołem i Polonią. W Hanulinie k. Kępna Grom uległ Sokołowi 3:6, w rewanżu zaś w Ostrzeszowie – wygrał 4:2. Na łące obok cmentarza w Baranowie k. Kępna ostrzeszowiaczy przegrali z Polonią 0:3, gromiąc ją srogo w rewanżu 6:1. Po wyzwoleniu, już w marcu 1945 r., z inicjatywy Wacława Sobczaka powstała drużyna piłkarska KS Sokół. Kilka miesięcy później reaktywowana została Victoria. Równolegle od 1946 r. istniał w Ostrzeszowie Harcerski Klub Sportowy. Victoria rozgrywała mistrzowskie mecze związkowe, HKS – mecze i turnieje towarzyskie. W 1949 r. nastąpiły drastyczne zmiany w organizacji sportu polskiego. Władze polityczne podporządkowały sobie wszystkie organizacje pozarządowe. W miejsce OZPN-ów powstały SPN przy WKKF-ach. Zgodnie z jednolitym kalendarzem imprez GKKF narzucono ogólnie zmiany w rozgrywkach. W miejsce klas A, B i C wprowadzono klasę wojewódzką i mistrzostwa powiatów. Zniknęły historyczne nazwy klubów, np. Legia stała się CWKS-em, Wisła Gwardią, Warta Stałą, Polonia, Lech, Ostrovia – Kolejarem, Ruch Unią itd. Odebrana poprzez centralizację samodzielność klubów spowodowała marazm w kulturze fizycznej małych ośrodków. Likwidacja klubów sportowych, w miejsce których powstały zunifikowane koła i zrzeszenia sportowe, odbiła się na poziomie i przyczyniła się do regresu piłki nożnej. W Ostrzeszowie z Victorii powstał Związkowy Klub Sportowy Budowlani (1949–1957), z HKS-u Ludowy Zespół Sportowy Czuwaj (1949–1951), potem Koło Sportowe Spójnia (1951–1954), przemianowane na Spartę (1954–1957). Oba wielosekcyjne kluby: Budowlani i Spójnia zajmowały się sportem kwalifikowanym w dyscyplinach: piłka nożna, siatkówka, tenis stołowy i ziemny,

lekkoatletyka. W 1953 r. Budowlani zdobyli awans do poznańskiej klasy A. Trzon drużyny stanowili: Antoni Andrzejewski, Tadeusz Biały, Czesław Fankidejski, Edmund Frasz, Jan Frasz, Mieczysław Froń, Henryk Gorgolewski, Władysław Klóska, Edward Kobyłański, Edmund Kukuła, Waldemar Majchrzak, Tadeusz Marszałek, Teodor Muszalski, Franciszek Pawełka, Henryk Puszman. „Odwilż październikowa” 1956 r. spowodowała ożywczy strumień w sporcie, powrót do tradycji sportowych i rozkwit kultury fizycznej.

W lutym 1957 r. na walnym zgromadzeniu działaczy z kół sportowych Budowlani i Sparta utworzono jeden klub sportowy – KS Piast. Prezesem został Władysław Jarczewski. Działania zarządu skierowano w pierwszym rzędzie na budowę własnego zaplecza sportowego. W latach 1959–1961 piłkarze Piasta Ostrzeszów dwukrotnie awansowali do poznańskiej klasy A i dwukrotnie z niej spadali. Awanse wywalczyli: Stanisław Bielicki, Stanisław Bojszczak, Antoni Cieplik, Wacław Fita, Kazimierz Froń, Mieczysław Froń, Władysław Klóska, Stefan Knopik, Jerzy Makles, Kazimierz Mamys, Bernard Moch, Teodor Muszalski (grający trener), Józef Organiściak, Jerzy Paseniuk, Zenon Przygoda, Henryk Puszman, Jerzy Śmiejszak, Klemens Zając, Zbigniew Życki. Kierownikiem drużyny był Antoni Organiściak. 18 czerwca 1961 r. piłkarze ostrzeszowscy otrzymali nowo wybudowany stadion miejski, a inauguracyjny na nim mecz rozegrali z Wartą Poznań, której bramki strzegł przez wiele lat wychowanek Piasta Kazimierz Mamys. Ponowny, trwały już, awans do poznańskiej klasy A wywalczył Piast w 1969 roku. Autorzy sukcesu to: Stanisław Bojszczak (grający trener), Andrzej Froń, Roman Jendro, Włodzimierz Karasiński, Włodzimierz Lepka, Zenon Machuła, Kazimierz Myja, Jan Nowak, Marian Pawlak, Wacław Pomykała, Jerzy



Przygoda, Marian Śmieński, Wiktor Wieczorek, Klemens Zając oraz kierownik zespołu – Antoni Organiściak. Od wiosny 1971 r. patronat nad drużyną rozłożyła Fabryka Urządzeń Mechanicznych w Ostrzeszowie, z której wywodziła się większość piłkarzy i działaczy. Na kolejny sukces czekano w Ostrzeszowie ponad 10 lat. W 1987 r. piłkarze Piasta wywalczyli długo oczekiwany awans do klasy międzyokręgowej Sieradz–Kalisz–Konin (odpowied-



nik IV ligi), rozpoczynając tłuste lata ostrzeszowskiej piłki. Awans zdobyli: Jarosław Adamkiewicz, Krzysztof Barański, Jarosław Derdak, Mariusz Duliba, Artur Jędrzejewski, Krzysztof Klepacz, Artur Kosma, Krzysztof Małolepszy, Dariusz Mądry, Jacek Ostrowski, Roman Przygoda, Roman Słupianek, Roman Wróbel. Trenerem zespołu był Zdzisław Modrzyński, kierownikami – Wiktor Wieczorek i Tadeusz Szatkowski. 25 lutego 1988 r. reaktywowany został OKS Victoria, który w sezonie 1988/1989 zdobył mistrzostwo klasy międzyokręgowej Kalisz–Konin–Sieradz i awansował do ligi makroregionalnej Łódź–Kalisz–Piotrków–Sieradz, a w następnym sezonie do III ligi centralnej, w której występował przez 2 sezony. Na sukcesy w tych latach zapracowali: Piotr Bartosik, Zbigniew Budziszewski, Wojciech Czech, Jarosław Derdak, Artur Jędrzejewski, Krzysztof Klepacz, Artur Kosma, Stanisław Lipiński, Tomasz Matula, Włodzimierz Piotrowski, Roman Przygoda, Roman Słupianek, Jarosław Szubert, Andrzej Trzciniński, Jarosław Wachowiak, Zbigniew Walczak, Andrzej Zwiernik oraz Andrzej Juszcak, Jacek Kajak, Aleksander Kowalski, Robert Lange, Krzysztof Ludwiczak, Rafał Łukasik, Jacek Mamot, Jacek

Pluciński, Wiesław Wojewoda, Arkadiusz Wróbel, Rafał Zaremba. Trenerami zespołu byli w tym czasie: Wojciech Czech i Jan Caliński, kierownikiem drużyny Tadeusz Szatkowski. W tym okresie, dokładnie po sezonie 1990/1991, Victoria plasowała się na 72.–81. miejscu w rankingu ligowych klubów w Polsce na 5881 klubów piłkarskich zarejestrowanych wówczas w PZPN. W 1989 r. Victoria Ostrzeszów jako kolejny czwarty klub województwa kaliskiego (po Ostrovii

Ostrów Wlkp., Włókniarzu Kalisz, Victorii Jarocin) wpisała się na listę zdobywców Pucharu Polski na szczeblu wojewódzkim. Również w 1991 r. grała w finale Wojewódzkiego Pucharu Polski, który odbył się w Krotoszynie. Prowadził go sędzia międzynarodowy Michał Listkiewicz, a obserwatorem finału był prezes PZPN – Kazimierz Górski. W lipcu 2006 r. Victoria do trofeów przechowywanych w klubowych gablotach dodała

Puchar im. Józefa Goli zdobyty w Bralinie po zwycięstwie w finale 2:1 nad Calisią Kalisz w corocznych okręgowych rozgrywkach tego cyklu. Klubowe gabloty zdobi też 11 pucharów Starosty Ostrzeszowskiego z 17 edycji mistrzostw powiatu w halowej piłce nożnej. Ostatnie trzydziestolecie Victorii to występy w III lidze, IV lidze i po kolejnej reorganizacji rozgrywek V lidze, czyli klasie okręgowej. Sześć sezonów z rzędu Victoria plasowała się na miejscach 2–4 w tabeli, nie mogąc uzyskać awansu. Dopiero w końcówce sezonu 2009/2010 awansowała po barażu z drużyną ARDI KROBIANKA Krobia do IV ligi gr. południowa (13 i 16 czerwca 2010 r.). W tym okresie wyróżniającymi się zawodnikami Victorii byli: Tomasz Śmieński, Bogumił





Stempin, Dariusz Szczepaniak, Krzysztof Żłobiński, Grzegorz Matyjak, Zenon Kozica, Kamil Franikowski, Sebastian Gawron, Michał Łakomy, Dariusz Kapral, Jacek Balcerczyk, Rafał Kucharski, Piotr Stempin, Robert Jakubiak, Piotr Pułkownik, Andrzej Nowicki, Arkadiusz Jarczak, Radosław Dolata, Zbigniew Cepa, Artur Skrobacz, Maciej Stawiński, Robert Bierski, Łukasz Szczepaniak (grający aktualnie w I-ligowych MKS Kluczbork, Chrobry Głogów, Puszcza Niepołomice). Osiem kolejnych sezonów Victorii w Lidze Wielkopolskiej to miejsca: 13, 6, 5, 12, 9, 8, 6, 10. Sezon 2018/2019 to sezon od początku do końca już w Lidze Międzyokręgowej gr. 3, w którym awansuje do 4 Ligi Wielkopolskiej. Zespół awansował w składzie 2018/19: Maksym Jaworski-Piszkiwicz, Tobiasz Moś, Jakub Jędrzejak, Kornel Skorzybót, Maciej Stawiński (kpt.), Radosław Dolata, Robert Skrobacz, Artur Skrobacz, Mikołaj Obsadny, Michał Mazurek, Przemysław Dubiel, Mikołaj Jędrzejewski, Paweł Paroń, Kacper Lepka, Sebastian Jędrzejewski, Kamil Sztukowski, Patryk Pasiak, Remigiusz Pastucha, Paweł Pukownik, Bartłomiej Świstak, Kacper Lepka, Mateusz Kucharski, Eryk Młoczyński. Po awansie w rundzie jesiennej z zawodników, którzy awansowali, ubyli: Maksym Jaworski-Piszkiwicz, Eryk Młoczyński, Artur Skrobacz, Maciej Sipurzyński, Bartłomiej Świstak. Do jesienno IV ligowego 2019 składu doszli: Mateusz Kierzek, Grzegorz Wachowiak, Miłosz Nowicki. Ci zawodnicy stanowią m.in. skład tzw. „Klubu 100”, czyli elitę zawodników-seniorów, którzy rozegrali co najmniej 100 ligowych meczów w barwach Victorii. Trzeba wyraż-

nie zaznaczyć, że w 1532 meczach ligowych wystąpiło 421 piłkarzy Victorii, ale tylko 58 z nich przyczyniło się znacząco do sukcesów klubu, przekraczając liczbę 100 rozegranych spotkań ligowych. Zdecydowanym liderem tej klasyfikacji jest grający do dziś Radosław Dolata, który w latach 2003–2019 rozegrał 382 meczów ligowych. Kolejnymi piłkarzami, którzy rozegrali najwięcej meczów, byli: Tomasz Śmieński – 343 meczów, Dariusz Szczepaniak – 314 meczów oraz Artur Skrobacz – 301 meczów. Członkiem klubu jest również obecny prezes Andrzej Sikora ze 124 rozegranymi meczami i 27 bramkami. Wymienieni wychowankowie Victorii oraz wieloletni kapitan zespołu Maciej Stawiński (trzykrotny

król strzelców Wielkopolskiej Ligi WZPN w sezonach 2016/17 – 20 bramek, 2017/18 – 25 i 2018/2019 – 28) w sumie 174 bramki w 264 meczach i Radosław Dolata z 55 bramkami w 382 meczach ligowych byli wieloletnią podporą ostrzeszowskiego klubu. W udokumentowanej statystyce klubowej w ostatnich 63 sezonach piłkarskich (1957–2019) ostrzeszowska Victoria rozegrała 1532 meczów ligowe, zapisując na swym koncie 642 zwycięstw, 244 remisów i 448 porażek oraz różnicę bramek 2633:1979. Nie byłoby powyższych sukcesów, gdyby nie zaangażowana praca szkoleniowców oraz bezinteresowna działalność działaczy z zarządami klubów na czele. W historii klubu zapisali się szkoleniowcy: Drygalla, Kazimierz Piłat (b. zawodnik Czarnych Lwów), Kazimierz Mróz, Teodor Muszański, Ryszard Kościelniak, Stanisław Bojszczak, Stanisław Macholak, Kazimierz Pawelczyk, Marian Śmieński, Mieczysław Podgajny, Zdzisław Modrzyński, Wojciech Czech, Jan Caliński, Andrzej Sobczak, Andrzej Strzelczyk, Henryk Torbus, Jerzy Krawczyk, Marek Chatliński, Piotr Kolenda, Dariusz Szczepaniak, Bogumił Stem-



pin, Sławomir Ulkowski, Andrzej Wojciechowski, Arkadiusz Jarczak, Dariusz Szczepaniak, Andrzej Nowicki, Marcin Kałuża, Andrzej Moskal, Sebastian Gawron i aktualnie Piotr Konstanciak. Działalność klubu koordynowali prezesi: Ludwik Gorgolewski, Edward Adamski, Stanisław Cieluch, Józef Łyszkowicz, Franciszek Michalak, Erwin Różyński, Henryk Glapiński, Bohdan Wodniakowski, Franciszek Stefaniak, Tadeusz Kotterba, Telesfor Gryczyński, Stanisław Tomczak, Władysław Jarczewski, Bogdan Raciniewski, Henryk Kuczyk, Sylwester Banasiak, Franciszek Wiertelwski, Stanisław Dybich, Teodor Muszański, Andrzej Kaniewski, Kazimierz Obsadny, Marek Stawik, Maciej Marszałkowski, Piotr Klimek, Zbigniew Jarczak, Marian Lamek, Tadeusz Pelc, Jerzy Juja, Marian Lamek (2x), Tomasz Śmieński oraz współczesny zarząd: prezes Andrzej Sikora (od 28.02.2011 – nadal), wiceprezes Paweł Pawlak (28.02.2011 – nadal), wiceprezes Artur Franiowski (28.02.2011 – 21.06.2018), wiceprezes Marcin

Obsadny (21.06.2018 – nadal), Edward Szukalski, Anna Gołdyn, Tomasz Śmieński i Sławomir Grądowy. Mimo licznych zakrętów dziejowych, trudności organizacyjnych, lokalowych i ekonomicznych Klub Piłkarski Victoria trwa już 100 lat, nadal szkoląc i wychowując kolejne pokolenia piłkarskie, bo przecież Victoria znaczy Zwycięstwo...

Stanisław Bojszczak

Tekst oraz projekt znaczka Victorii: St. Bojszczak

- Zdjęcia: F. Feige, L. Grabowski, A. Gołdyn, G. Kosmała, D. Wrzański, archiwum KP Victoria
- Reprodukacja i retusz zdjęć archiwalnych: Studio 6x6
- © Wszystkie prawa zastrzeżone

Kinga Lewandowska RODZINA DONATÓW Z OSTRZESZOWA

Korzenie mojej rodziny wywodzą się z Ostrzeszowa. Choć urodziłam się w Krakowie w 1940 roku, a szkolne lata spędziłam w Poznaniu, to właśnie w dzieciństwie słyszałam wiele opowieści o urokach tego wielkopolskiego miasta i o dzielnych krewnych tam żyjących. W mieszkaniu naszym wisiał obraz przedstawiający klasztor bernardyński namalowany przez Antoniego Serbeńskiego w 1939 r., a u kuzyna Jabłońskiego wisiał przejmujący drzeworyt „Chrystus Król” w jego papierowej kopii. Wyobraźnię moją pobudzała też niezwykle informacja, że w pomieszczeniach byłego klasztoru mieszkali moi dziadkowie ze swoimi dziećmi, a w pobliskiej szkole uczył dziadek Józef Donat. W rozmowach ze starszymi kuzynami powracały opowiadania o jego świadomości narodowej i zadziwiającej zdolności wydawania dźwięków jako brzuchomówca.

Pewnego letniego dnia, gdzieś w 1948 roku, ojciec zabrał mnie na krótką wyprawę do Ostrzeszowa. Odwiedziliśmy ważne rodzinne miejsca i krewnych mieszkających przy Rynku. Pamiętam miłą wizytę w domu sympatycznej ciotki Letycji Fabrowskiej. Usypiała mnie wesołą zabawą z wierszykiem: „Karaluszki pod poduszki, a szczypanki do zabawki”.

Kiedy przeszłam na emeryturę, pojawiło się marzenie, aby bliżej poznać korzenie mojej ostrzeszowskiej rodziny. Zaczęłam je systematycznie badać, przeglądając archiwalne fotografie rodzinne i dokumenty. Podjęta



praca genealogiczna okazała się pasjonująca, trwa już pięć lat. Obecnie pragnę upublicznić zebrane informacje, bo mogą być ważne dla wszystkich tych osób, które interesują się życiem dawnych mieszkańców Ostrzeszowa.

Zacznę od przedstawienia seniora rodu Donatów, mego prapradziadka **Józefa Donata**, urodzonego ok. 1777 roku. Był kantorem w miasteczku Bytom Odrzański, oddalonym 22 km na zachód od Głogowa. Nazwa ta po niemiecku brzmiała: Beuthen a/Oder bei Gross Glogau. Jako kantor wykonywał śpiewy liturgiczne w kościele rzymskokatolickim pw. św. Hieronima, uczył śpiewu i prowadził chór w szkole katolickiej.

Syn Józefa seniora, **Gustaw Donat**, to mój pradziadek. Urodził się 1.03.1818 w Bytomiu Odrzańskim. Uczył najpierw w szkole w Komorowie k. Mikstatu w 1840-43,



a następnie osiadł w Pleszewie, gdzie został rektorem gimnazjum.

Nie wiadomo dokładnie, kto jest na tym zdjęciu. Prawdopodobnie to Gustaw Donat z gromadą uczniów i synkiem Karolem, oznaczonym u dołu krzyżykiem, ok. 1860 r.

Jego żoną była Walentyna Donat z domu Remelska, urodzona 2.02.1825 w Ostrzeszowie. Rodzicami Walentyny, czyli moimi prapradziadkami, są: Jadwiga Remelska z domu Kinastowska i Franciszek Remelski, który był fizykiem w Ostrzeszowie. Tak określano wówczas lekarza. Walentyna zmarła 22.06.1876 w Pleszewie. W rok po śmierci żony Gustaw zawarł kolejny związek małżeński z Wandą Pauliną Buchwald z Jarocina. Z pierwszego związku przyszło na świat siedmioro dzieci: Józef - nauczyciel w Ostrzeszowie, Karol - drukarz w Berlinie, był z pary bliźnięt, ale siostra Jadwiga zmarła, Franciszek - filolog słowiański, Wiktoria - zmarła w dzieciństwie, Helena oraz Leopold - drogista w Wąbrzeźnie.

Moja Babcia nazywała się Teodozja Donat. Urodziła się w Ostrzeszowie w 1854 r. jako córka Antoniego Boruckiego i Marii Paneckiej, w rodzinie ziemiańskiej. Żyła 84 lata, z czego 67 lat spędziła w Ostrzeszowie. Otrzymała oryginalne imię po swojej ciotce Teodozji Urbańskiej, z domu Paneckiej. Teodozja jako najstarsza córka spośród czworga rodzeństwa była wychowywana surowo pod względem posłuszeństwa rodzicom, w atmosferze gorącej wiary katolickiej i w poczuciu umiłowania ojczyzny. Gdy była dzieckiem, jej ojciec sprawował urząd burmistrza Ostrzeszowa. Antoni Borucki funkcję tę pełnił 13 lat, od roku 1849 do 1862 r. Warto zauważyć, jaki to był moment historyczny - tuż po likwidacji Wielkiego Księstwa Poznańskiego i w rok po Wiośnie Ludów. W tamtych czasach główną władzę w mieście dzierżył urzędujący burmistrz, poddawany nadzorowi niemieckich władz powiatowych i rejonowych. Magistrat, czyli Urząd Miejski, składał się z burmistrza i 3 członków. Członkowie magistratu nie otrzymywali wynagrodzeń, dlatego też funkcje te peł-

nili zamożni mieszkańcy Ostrzeszowa. Ten fakt mówi wiele o statusie majątkowym mojego pradziadka.

Znam kilka legend rodzinnych przekazywanych ustnie, dotyczących się zarówno osoby babci Teodozji, jak i jej męża Józefa, nauczyciela. W barwny sposób przedstawiła je pisarka emigracyjna Danuta Mostwin w książce pt. „Tajemnica zwyciężonych” [1]. Warto zaznaczyć, że autorka była żoną wnuka Teodozji, Stanisława Niedbała, który wszystkie legendy jej przekazał, co może potwierdzać autentyczność opisywanych wydarzeń.

Rodzinna legenda głosi, że kiedy Teodozja miała 18 lat, była zaręczona ze starszym od siebie o 6 lat studentem Feliksem z Ostrzeszowa, który kończył studia medyczne w Berlinie. Dostała od niego zaręczynowy złoty krzyżyk na łańcuszku. Student ów, jako zapalony patriota, należał do tajnej narodowej organizacji i towarzyszył polskiej delegacji wybranej na spotkanie trzech cesarzy we wrześniu 1872 r. dla omówienia ważnej dla Polaków „sprawy polskiej”, czyli odzyskania niepodległości. Spodziewano się, że w trakcie zjazdu rosyjskiego cara Aleksandra Romanowa, cesarza austriackiego Franciszka Józefa oraz cesarza niemieckiego Wilhelma I - rozpatrzą oni przedłożony przez Polaków memoriał. W tych dniach Teodozja otrzymała telegram z wiadomością o śmierci narzeczonego. Krótka była jego treść: „Feliks otruty, zmarł wczoraj - Alojzy”. Podpisaną pod telegramem osobą był prawdopodobnie felczer, Alojzy Remelski. Po tym wydarzeniu Teodozja poważnie zachorowała, przez kilka miesięcy pozostawała osłabiona. Wreszcie przyjechał do Ostrzeszowa ów przyjaciel Feliksa, Alojzy, by o wszystkim dokładnie opowiedzieć. Chorą jednak postanowiono oszczędzić i nie doszło do ich spotkania.

Gdy Teodozja powróciła do zdrowia, zaczęła spotykać się ze swym dalszym kuzynem Józefem Donatem (juniozem) urodzonym w Komorowie w 1850 r. Był on synem wyżej wspomnianego Gustawa, rektora szkoły w Pleszewie, i Walentyny z domu Remelskiej. Młody Józef, podobnie jak jego ojciec, podjął naukę w seminarium nauczycielskim. Ukończył pomyślnie Królewskie Katolickie Seminarium Nauczycielskie w Poznaniu, gdzie studiował w latach 1869-1872. W ramach programu nauczania elementarnego jego wykształcenie obowiązkowo obejmowało grę na organach, grę na fortepianie i skrzypcach, dając w ten sposób gruntowne przygotowanie muzyczne. Uczył go Teofil Klonowski - postać bardzo zasłużona dla rozwoju wielkopolskiego śpiewactwa. Już w momencie otwarcia szkoła dysponowała sześcioma klawikordami, co świadczy nie tylko o teoretycznym, ale także praktycznym nauczaniu muzyki. Absolwenci byli wszechstronnie przygotowani do zawodu nauczyciela. W szkole powszechnej w zaborze pruskim nauczyciel był tylko jeden, a uczyć musiał religii, języka niemieckiego, rachunków i geometrii, rysunków, realiów (wiedzy z historii, geografii,

przyrody), śpiewu, chłopców- gimnastyki, a dziewczęta- szydełkowania, robienia na drutach i gry na jednym instrumencie. Demonstrował także elementy sportowo-gimnastyczne, prowadził chór szkolny. Placówka miała charakter środowiskowy; nauczyciela powszechnie szanowano, gdyż wyrósł z etosu pozytywistycznego.

Ślub Teodozji z Józefem Donatem odbył się w 1874 r. Józef rozpoczął pracę w Ostrzeszowie w katolickiej szkole elementarnej, w budynku szkolnym przy dawnym klasztorze bernardyńskim, a małżonkowie zamieszkali w samym klasztorze, w salach przewidzianych dla rodzin nauczycielskich. W 1908 przeprowadzili się do mieszkania przy ul. Krakowskiej 18, obecnie Sikorskiego.



Rok 1900, Borek. Od lewej: Mieczysława Urbańska ur. 1880, Maria Fabrowska z d. Szymańska, Stanisława Niestrawska z d. Urbańska ur. 1875, Teodozja Donat i Józef Donat, Gabriela Urbańska ur. 1878. Na ziemi siedzą: Stanisław Fabrowski, Lita Fabrowska ur. 1894 i Zygmunt Donat ur. 1891.



Babcia Teodozja była niezwykle elegancką osobą, dbała o modny strój, potrafiła sama haftować i wykonywać drobne poprawki krawieckie, uczyła swoje córki robić

piękne robótki i eleganckie lalki, które ustawione na poduszkach stanowiły ozdobę mieszkania. Na przełomie XIX i XX wieku były modne wielkie kapelusze, otoczone szerokim rondem i ozdobione piórami i taki wspaniały kapelusz sprawiła sobie Teodozja. Zdjęcie pokazuje jego cały urok.



Na zdjęciu od lewej: syn Kazimierz Donat, rodzice Teodozja i Józef Donatowie, syn Zygmunt Donat.

Kiedy wnuki przyjeżdżały do Ostrzeszowa, Dziadek Józef przynosił egzemplarz „Pana Tadeusza” i mówił do dzieci: „Idźcie po ryczki, będziecie czytać „Pana Tadeusza” na głos, na zmianę”. Dbał w ten sposób o biegłą znajomość języka polskiego. Był doskonałym organizatorem wycieczek. Józef lubił z chłopcami zbierać grzyby w lesie, opowiadać im o gniazdach ptaków, chętnie odwiedzał rodzinę pana leśniczego, pokazywał stare zabytki pod kościołem, gdzie stały trumny z nieboszczykami, ale przede wszystkim uwrażliwiał na piękno muzyki i śpiewu. Mówiło się, że dla swoich uczniów był srogim nauczycielem. Na rękę grającej na fortepianie osoby kładł talar i trzeba było grać tak, aby ten talar nie spadł z dłoni. Lubiał żartować, miał upodobanie do lekkiej kpiny i wesołości. Dziadek Józef Donat posiadał rzadką umiejętność, był mistrzem jako brzuchomówca.



Potrafił mocno nastraszyć głosem jak z grobu. Tak się stało jeszcze przed I wojną, gdy- oprowadzając po klasztorze niemieckiego inspektora szkolnego, prowadząc go krążankiem nad kratą wentylacyjną- wydobył z siebie jęk: „dusza pokutująca błaga o modlitwę”. Niemiec padł na kolana, modląc się. Historia ta rozeszła się po mieście, radując mieszkańców. Dziadek jednak za

ośmieszenie władzy został ukarany wysoką grzywną.

W czasie I wojny światowej Józef Donat prowadził tajne nauczanie języka polskiego, narażając się władzy pruskiej na dotkliwe kary. Prowadzenie prywatnych lekcji gry na instrumentach muzycznych pozwoliło mu na przetrwanie trudnych lat wojennych. Pracę nauczycielską w Ostrzeszowie prowadził prawie pół wieku. Zmarł 19 maja 1921 r. i został pochowany na cmentarzu katolickim w Ostrzeszowie. [3]

W mieszkaniu na terenie byłego klasztoru przyszły na świat dzieci Donatów:



Na zdjęciu z 1908 r. babcia Teodozja i Józef Donat wśród grona dzieci i wnuków. Od lewej Antoni Jabłoński, ks. Jan Donat, Kazimierz Donat, Zygmunt Donat, Ignacy Niedbał, siedzą córki z dziećmi- Zofia Jabłońska ur.1879 i Maria Niedbałowa ur. 1881.

Najstarszy syn Jan Donat, 1877 -1934, po ukończeniu gimnazjum w Ostrowie podjął naukę w Seminarium Duchownym w Poznaniu, a po trzech latach odbył roczny kurs praktyczny w Gnieźnie. Jego uroczysta Msza św. Prymicyjna odbyła się w farze w Ostrzeszowie dnia 18.04.1900.

Po okresie pracy jako wikary w różnych parafiach wielkopolskich został proboszczem w Mieszkowie koło Jarocina. Jako wielki społecznik i patriota działał w towarzystwach kościelnych, robotniczych i kościelnych. Kierował Bankiem Ludowym w Mieszkowie od 1912 r. do 1934 r. Członek komitetu organizacyjnego polskiej wystawy przemysłowej w 1912 w Pleszewie. Patron Towarzystwa Przemysłowego w Mieszkowie, był delegatem z powiatu jarocińskiego na Sejm Dzielnicowy w 1918 roku



w Poznaniu. Współtworzył Ochotniczą Straż Pożarną i pełnił funkcję jej kapelana, był prezesem w Towarzystwie Czytelni Ludowych. Zmarł w Poznaniu 15.08.1934 r. i został pochowany na Cmentarzu Jeżyckim



Na zdjęciu jubileusz 25-lecia kapłaństwa ks. Jana Donata w Mieszkowie w 1925 r. Na uroczystość przybyli członkowie dawnych rodzin z Ostrzeszowa: Niedbałowie, Jabłońscy, Szymańscy, Fabrowscy.

Zofia Jabłońska 1879-1947. Jej mąż Antoni Jabłoński urodził się- tak jak Józef Donat- w Komorowie k.Mikstatu, czyli wyszukano męża dla Zofii Donat w 1904 r. wśród młodzieńców urodzonych w pobliskim Komorowie. Po ślubie w 1905 roku zamieszkali najpierw w Rawiczu, potem w Poznaniu. Antoni był z zawodu kupcem branży drogeryjnej. Mieli czwórkę dzieci. Syn Zbigniew, dr praw, prowadził kancelarię adwokacką w Nowym Jorku.

Maria Niedbał 1881-1965. Jej mąż Ignacy Niedbał ze Zbąszynia był też kupcem, przedsiębiorcą, pełnił liczne funkcje społeczne, m.in. wiceprezesa Izby Przemysłowo- Handlowej, wiceprezesa Związku Fabrykantów w Poznaniu, a także był konsulem honorowym Łotwy. Ich córka Halina występowała na estradach operowych Poznania jako śpiewaczka koloraturowa. Jeden z synów był doktorem weterynarii, a drugi syn, ppor. Stanisław Niedbał-Mostwin pseudonim „Bask”, był kurierem, emisariuszem Rządu Emigracyjnego w 1944 r.; osiadł w Anglii, następnie w USA, gdzie był długoletnim dyrektorem Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Kazimierz Donat 1884-1951, kupiec w branży drogeryjno-chemicznej i elektrotechnicznej. W latach 1905-12 założyciel kół Towarzystwa Młodzieży Kupieckiej w Katowicach, Berlinie i Hamburgu. W czasie okupacji niemieckiej wysiedlony wraz z rodziną do Krakowa. Po wojnie kontynuował pracę w branży elektrotechnicznej. Był aktywnym członkiem Związku Fabrykantów w Poznaniu, a po wojnie, w 1948 r., pełnił funkcję prezesa Zrzeszenia Kupców Branży Elektrotechnicznej i Radiowej. Jego żona Maria z domu Piechocka, rodem

z Ostrowa Wilk., ukończyła szkołę śpiewu solowego Marii Heleny Miączyńskiej. Kilkakrotnie śpiewała na estradach Poznania i na antenie radia. Małżeństwo miało trzy córki. Wszystkie otrzymały wykształcenie muzyczne i w swoich specjalnościach zawodowych zajmowały się dziedziną muzyki. Najstarsza Teodozja Donat-Jasiak, doktor medycyny - foniatra, wykładowca emisji głosu; średnia Zdzisława Donat-Pajda - sopran koloraturowy o światowej sławie, profesor wyższych szkół muzycznych Krakowa i Warszawy, oraz Kinga Donat-Lewandowska- doktor psychologii muzyki i muzykoterapeuta Uniwersytetu Gdańskiego.

Zygmunt Donat 1891-1970. Ukończył gimnazjum w Krotoszynie w 1909 roku. Studiował medycynę w Lipsku, Monachium i w Berlinie. Brał udział w III Powstaniu Śląskim w randze kapitana jako lekarz pułkowy. Przed II wojną światową prowadził własną praktykę lekarską. Po wojnie pracował w kolejowej służbie zdrowia. Specjalizował się w dziedzinie radiologii. Jako jeden z pierwszych lekarzy Poznania miał prywatny aparat rentgenowski. Tak jak brat, ks. Jan, był członkiem Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Żoną jego była Maria z domu Szuster. Małżeństwo miało dwoje dzieci - córkę Elżbietę, farmaceutkę i syna Andrzeja - lekarza medycyny.



Zygmunt Donat, kuzynka Mieczysława Urbańska -bibliotekarka TCL, Kazimierz Donat.

W miejscu tym przypomniła mi się jeszcze jedna ciekawa legenda, która opowiada o nieugiętej postawie patriotycznej Teodozji Donat jako matki swych synów. Kiedy syn Zygmunt, będąc już dojrzałym młodzieńcem, przedstawił matce zamiar ożenku z poznaną podczas studiów medycznych w Berlinie młodą Niemką, Teodozję przeraziła ta wiadomość. Jej troską było, aby synowie wybrali sobie Polki za żony. Postanowiła uzyskać radę i interwencję u księdza Jana. Pojechała do niego do Mieszkowa, krótko przedstawiła swoje negatywne stanowisko. Obdarzony autorytetem ksiądz zaprosił do siebie młodszych braci, jeszcze kawalerów,

i zrećnie wymusił na nich przysięgę, że nigdy nie zwiążą swego życia z niemieckimi kobietami. I tej przysięgi dochowali.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że dzieci ostrzeszowskiego rodu Donatów nie tylko odziedziczyły po rodzicach zamiłowania pedagogiczne i muzyczne, ale otrzymały przygotowanie muzyczne w postaci gry na instrumentach (fortepian, skrzypce, fisharmonia), a ks. Jan Donat jako wielbiciel muzyki zakładał chóry w każdej parafii, był ich opiekunem oraz organizował zjazdy chórów.

Patrząc z perspektywy stulecia na rodzinę Teodozji i Józefa Donatów z Ostrzeszowa, mogę powiedzieć, że rodzina ta przetrwała w trudnych czasach zaborów, bo cechowało ją wiele surowych zasad postępowania, takich jak uczciwość w pracy, pracowitość, oszczędność i właściwe zarządzanie pieniędzmi, przeczność w życiu, ciągła dalsza edukacja, perfekcyjna znajomość języka niemieckiego, a jednocześnie kultywowanie tradycji i kultury narodowej, polskiej.

W momencie odzyskania niepodległości powstało nowe zadanie ratowania polskich zabytków i konieczność gromadzenia polskich dzieł sztuki, udzielano więc wsparcia materialnego polskim artystom, np. Antoniemu Serbeńskiemu. Kazimierz Donat kontynuował tę postawę w czasie okupacji niemieckiej 1939-45, po wysiedleniu z Poznania do Krakowa. Wspierał tam rodzinę profesora i kompozytora Feliksa Nowowiejskiego, księdza i zarazem poetę Ewarysta Nawrowskiego z parafii św. Idziego w Krakowie, utalentowanego rzeźbiarza Edwarda Haupta z Poznania, rodzinę osadzonego w więzieniu gestapo Władysława Szulgita, drogisty z Tarnowskich Gór i innych.

Rodzina Donatów przejawiała niezłomną postawę patriotyczną i dążyła do krzewienia polskości. Co ciekawe, ojciec mój nigdy nie używał słowa - patriotyzm, ale podkreślał piękno Polski i mądrość Polaków, rozwijał w ten sposób dumę narodową, która budziła się podświadomie. W ukształtowaniu tej postawy pomogły przykłady działalności licznych autorytetów, jak Edward Raczyński, Tytus Działyński, Karol Marcinkowski, później Ignacy Paderewski, gen. Józef Haller i Władysław Sikorski.

Przypisy:

[1] Danuta Mostwin „Tajemnica zwyciężonych”
Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1992

[2] Praca.Tygodnik Polityczny i Literacki 12.12.1915.
Notatka Kornaszewskiego o brzuchowcy z Ostrzeszowa.

[3] Gazeta Ostrzeszowska, 21.05.1921

WYGNAŃCZY HODOS WARSZAWIAKÓW I NASZE LOSY PO POWSTANIU WARSZAWSKIM

Nagle genialna myśl przebiegła jego umysł i- tak jak był - w swojej białej, nocnej koszuli, długiej aż do kostek, boso, z zaspanym synkiem na ręku, zbliżył się do oprawców, którzy rozdzielali siłą mężczyzn od kobiet. Uznali, że to kobieta trzymająca na rękach niemowlę! Tak to razem z żoną i dwojgiem osesków przedostali się do jednej grupy.

Okazało się potem, że wagony, w które dostała się rodzinka, zmierzały do Pruszkowa.

Pozostałe kierowano albo do obozu w KL Auschwitz, albo na Zachód i do Niemiec. I tak Reginę (14 lat) wraz z matką -współlokatorce z ulicy Glogera 1- przetransportowano do Niemiec, w górskie rejony, do pracy w elektrowni. Sprzątały tam hale produkcyjne kotłowni i maszynowni. Ktoś na Dworcu Zachodnim w momencie rozdzielania grup zawołał donośnym, rozpaczliwym głosem w kierunku rodzinki: „Nie wsiadajcie do tego wagonu, bo on zaraz wyrusza do obozu w Auschwitz. Chodźcie do naszego, bo jedzie do Pruszkowa”.

Zdezorientowana i zakłopotana Helenka posłuchała „ziemskiego Anioła Stróża” i weszła wraz ze Staszkiem i dziećmi do zaproponowanego wagonu. W tym momencie i w tej sytuacji tylko przypadek, dobro wieszcząca podpowiedź czy propozycja mogła spowodować zmianę przyszłego losu wygnańców, a nawet życia. Chaos i zamieszanie, jakie miało miejsce na owym dworcu, sprzyjało dekoncentracji. W zestawie wagonów kierowanych do Pruszkowa znaleźli się całkiem przypadkowo. Kiedy zmierzali na bocznice kolejową, na której stał właśnie ten zestaw, nagle jakiś dobroduszny maszynista parowozu rzucił Helence pod nogi poduszkę. Widział, jak biedna i bezbronna matka pieczołowicie tuli do piersi swoje niemowlętko, poczuł w sobie litość i miłosierdzie, i w ten sposób z pewnością uratował dziecko od utraty życia i wyziębienia. Miało bowiem na sobie jedynie mokrą piżamkę- tę z nocy, w której byli wypędzeni. Pampersów ani folii wtedy nie było.

Poduszka ta przetrwała cały pobyt w Dulagu 121 (obozie przejściowym) w Pruszkowie, transport kolejowy i służyła jeszcze po wojnie. W nocnej koszuli, z dzieckiem na ręku, obok Helenki znalazł się Staszek-jej mąż, trzymający na rękach o rok starsze niemowlę. Szczęście i radość w tej niedoli nie miały granic, bo przecież uniknęły zagłady, lecz wojna się jeszcze nie skończyła i nie wiadomo było, co będzie dalej.

Jest rok 1934, Warszawa. Rok wcześniej Staszek skończył swą zasadniczą służbę wojskową, którą odbył na kresach wschodnich w KOP Kowno.

Bez namysłu i zastanowienia, podobnie jak jego brat Janek, zaplanował osiedlić się w Warszawie i tam dołą-

czyć do brata, aby swój los związać ze Stolicą, w której rozkochał się od pierwszego wejrzenia i zawsze marzył, aby w niej zamieszkać.

Wspólnie dzielili los w tej ukochanej Warszawie. Do nich dołączyła także ich siostra Maria, dozgonna panna, singielka, bo nigdy nie zaznała uroków małżeństwa.

Pewnego razu, czyniąc zakupy, Staszek wstąpił do sklepu warzywniczo- kolonialnego. Był to sklep z artykułami pochodzenia zagranicznego, głównie z ówczesnych kolonii. Zdziwiony ujrzał nagle przed sobą znajomą twarz. Była to Helenka, którą poznał jeszcze przed wojną w małym rodzinnym miasteczku na południu Wielkopolski. Dziewczyna przebierała pomarańcze i inne cyrusy, odrzucając nadgniłe, uszkodzone owoce.

Helenka pracowała u państwa Różyńskich jako niańka, wychowując sumiennie i z wielkim poświęceniem Marysia i Olę.



Idąc zwykle do swojej pracy w zakładzie pana Sułkowskiego, Staszek często spotykał Helenkę, kiedy wybierała się na spacer z dziećmi.

„Miłość odnajdzie się wszędzie”. Zadzierzgnięta znajomość, mimo różnicy wieku, przerodziła się w uczuciowe zaangażowanie.

Helenka, bez zobowiązań, wolna, bez specjalnych kontaktów z rodziną, niezależna, była od dawna sierotą,

ponieważ mając 8 lat straciła ojca Jana, a w rok później ukochaną matkę Ludwikę. Wychowywała się w wiejskim środowisku, wspólnie z bratanekami i bratanicami, dziećmi brata Adama, najstarszego z rodzeństwa. Traktowana była źle, po macoszemu, przez bratową, która angażowała sierotę do wszelkich prac domowych i w gospodarstwie.

Ze względu na wiejskie warunki skończyła jedynie cztery klasy szkoły podstawowej, a dalsza nauka stała się niemożliwa, bo trzeba było dojeżdżać do szkół oddalonych dość daleko od tej wioski.

Pracując potem w cukierni w pobliskim mieście, przeniosła się do państwa Różyńskich. Zaczyna i dobra pani domu zaproponowała młodej dziewczynie posadę w Warszawie- u swych krewnych w sklepie kolonialnym na Ochocie.

Była szczęśliwa i beztroska, więc zgodziła się na tę zaskakującą propozycję i w ten sposób znalazła się w Warszawie.



Staszek, pochodzący z licznej rodziny, po ukończeniu szkoły podstawowej pracował jako malarz i praktykował u pana Sułkowskiego. Był przedostatnim dzieckiem w rodzinie, w której rodzice po wyjeździe do Niemiec, do Westfalii, urodzili Jana i Marię, w rezultacie czego rodzina składała się z sześciorga dzieci. Franciszek- głowa rodziny- pracował tam w Aplerbeck, w miejscowej kopalni, w charakterze cieśli. Niemiecki Ausweis uratował jego brata Jana wielokrotnie od śmierci w czasie okupacji.

Staszek, spotkawszy swoją Helenkę we wspomnianym sklepie na Ochocie, urzeczony jej widokiem, zaproponował rozmowę w pobliskiej kawiarence, na co dziewczyna przystała. Mając świadomość różnicy wieku, była niezbyt zdecydowana na dalszą znajomość i na częste spotkania. Jednak Staszek nalegał, przekonując swoją przyjaciółkę o poważnych zamiarach, głębokim sensie tej znajomości.

Sielanka trwała i coraz bardziej młodzi przekonywali się do swych wzajemnych i szczerych uczuć. Helenka

w tym czasie zamieszkała na ulicy Korzeniowskiego 5, pod numerem 6, w bezpośrednim sąsiedztwie państwa Dygatów- rodziny znanej w ówczesnej Warszawie i w Polsce, ze względu chociażby na Karpińskich ze strony pani Dygatowej, której brat, jako prezes Banku Polskiego, widniał przed wojną na każdym banknocie. W kuchni u tych dostojnych państwa pracowały przyszłe koleżanki Helenki: Bronisława Mogulewska oraz Pelagia Tomczak- Wielkopolanka ze Śremu. Bronisława wychowywała dzieci państwa Dygatów: Stanisława, przyszłego znanego pisarza, oraz Danutę, przyszłą żonę znanego muzyka i kompozytora Witolda Lutosławskiego.

Staszek cierpliwie i namolnie umawiał się z Helenką, nie dając za wygraną, pomimo wyrazów obojętności ze strony swojej wybranki.

Nic nie wskazywało na zbliżającą się hekatombę Warszawy i wybuch II wojny światowej.

Stało się to właśnie 1 września 1939 roku, kiedy bombowce nadleciały na bezbronne miasto, zwiastując w oczywisty sposób niebezpieczeństwo dla kraju i stolicy. Wówczas nie było żartów, a strach przeszył każdego.

Żyjąc w tej okupacyjnej rzeczywistości, młodzi- w ciągłym strachu i niepewności- myśleli jedynie o przetrwaniu, a nie o miłości.

Jednak uczucie coraz bardziej się gruntowało i wiązało ich. Utwierdzało w przekonaniu, że jest uczciwe, serdeczne i prawdziwe.

W tej niedoli Staszek czterokrotnie uniknął śmierci. Dwukrotnie, salwując się ucieczką z obozów w Neubrandenburgu oraz Lammsdorf, a raz z rąk gestapowców na progu więzienia na Rakowieckiej. Czwarty raz uratowała go suknia, a raczej długa biała koszula nocna, przy wspomnianym na początku rozdzielaniu mężczyzn od kobiet przed wywózką do obozu w Pruszkowie.

Podczas okupacji trudno było planować wspólne życie, snuć plany na przyszłość.

Przyszedł moment, w którym Staszek na krótko pojawił się w Warszawie z nowym dowodem osobistym, wyrobionym przez pułkownika Testara w Ambasadzie Francuskiej, za protekcją Antoniego Dygata seniora, ponieważ stary stracił podczas ucieczki przed żandarmami. Podczas szarpaniny marynarka z dokumentami została wówczas w rękach oprawców.

Był czerwiec roku 1942. W domu państwa Dygatów, przy wyciszonej muzyce, wydobywającej się z patefonu obsługiwanego przez przyszłego pisarza Stanisława i przy ubogo zastawionym stole, odbyło się przyjęcie weselne Staszka i Helenki.

Po roku na świat przyszedł ich syn Konrad, a potem, w kilka miesięcy przed wybuchem Powstania War-



szawskiego, ich córeczka Danuta, która dostała imię na pamiątkę po zacnych państwu Dygatach- ich córka też miała na imię Danuta.

Z dwojgiem niemowląt nie było możliwości wspólnego mieszkania w zaprzyjaźnionym domu, więc młoda rodzinka przeprowadziła się do sąsiedniego mieszkania- do państwa Marzęckich, dozorców kamienicy przy Glogera pod jedyką.

Kiedy wybiła godzina „W” i zaczęło się Powstanie Warszawskie, z przerażeniem zorientowali się, że nie ma



żartów i że los ich jest zagrożony. Bomby, „latające krowy”, siły spustoszenia i zwiastowały grozę i strach wśród warszawiaków.

Na początku dało się słyszeć o masowych atakach powstańców, ich epizodycznych zwycięstwach, później o klęskach oraz o masowych mordach na ludności walczącej i powstańcach. Niestety, powstanie trwało jedynie 63 dni i poniosło klęskę.

Helenka wraz z Renią, córką państwa Marzęckich, były świadkami zamordowania kilkunastu powstań-



ców na sąsiedniej ulicy Wawelskiej, a raczej na rogu tej ulicy, przy skrzyżowaniu z Grójecką. Wychodząc pewnego dnia przez przydomowy ogródek na ulicę Wawelską, z przerażeniem ujrzeli nadjeżdżający samochód zwany „suką” lub „budą”, z którego wywleczono kilkunastu skazańców i pod płótnem ich natychmiast rozstrzelano. Po pewnym czasie wrzucono zabitych z powrotem do tej budy i wywieziono gdzieś w nieznane. Natychmiast zlecieli się ludzie z pobliskich domostw; zbierali w pośpiechu zastygłą krew i nagle na tym miejscu pojawiły się kwiaty polne i znicze. Czy fakt ten został kiedyś udokumentowany i zapisany w kronikach? Wiele takich zdarzeń miało miejsce wówczas w Warszawie.

W tych ciężkich chwilach pewnego razu został trafiony bombą woźnica wraz z koniem, wiozący ulicą Grójecką z Sochaczewa na miejscowy bazar na Banacha warzywa i ziemniaki dla głodujących warszawiaków. W jednym momencie zbiegło się wielu ludzi i na kawałki rozszarpali zabitego konia. Staszekowi trafiło się dość spore udo, które przywłókł do domu i podzielił się z rodziną i sąsiadami. To była wyjątkowa uczta, posiłek wzmacniający zgłodniałych i wychudzonych.

W kilka dni po wybuchu Powstania Warszawskiego w nocy nagle wtargnęli Ukraińcy usługujący Niemcom w czasie okupacji i wypędzili Helenkę z mężem i małymi dziećmi- zaspanych i w nocnym odzieniu, bez obuwia. Wypędzili na bruk wszystkich mieszkańców domów na Ochocie.

Z niezwykłą brutalnością i zatrzeciewieniem obchodzili się z ludnością. Na oczach wszystkich bili kolbami, kopali, pluli oraz gwałcili bezbronne dziewczyny na podwórkach domów lub w klatkach schodowych.

Helenka w pewnym momencie odważyła się użalić przed tym rozwścieczonym bandytą, a ten uderzając ją w twarz i kopiąc, wykrzyknął: „Chciało się wam, swótcz Polaczki, powstania, to go macie!” „Idi do czorta! Ubiju jak sobaku, „Wsje poginiecie, a ty ciesz się, że żyjesz!”

Zesztywniała ze strachu, zaniemówiła natychmiast po takiej ripocie zwyrodnialca.

W tej nocy wszystkich spędzono na Zieleniak- punkt zborny, znajdujący się obok gazowni u zbiegu Banacha

i Grójeckiej. Dzisiaj, po tylu latach, na tym miejscu jest nadal targowisko, lecz niewiele pozostało z tamtych lat. Nie ma śladów po owej studni i gazowni. Na środku stoi zmurszałe i pokrzywione drzewo, zniszczone zębem czasu, które służy handlowcom jako podpora i wieszak.

W spiekocie sierpniowego słońca, bez środków do życia i wody, wygnańcy trwali kilkanaście dni. Na środku stała studnia- głęboka, prawie wyschnięta, nieużywana. Zbliżenie się do tego obiektu groziło surowymi sankcjami, a nawet zabiciem, ze względu na epidemię tyfusu lub innej choroby.

Pewnego dnia grupka dzieci zbliżyła się do tego zakazanego obiektu, aby zaczerpnąć brudnej wody. Nagle zjawił się żandarm i próbując je przepędzić- jedną ręką wymachiwał, drugą natomiast nacisnął spust rewolweru i się postrzelił.

W szale, amoku i wściekłości pobiegł gdzieś przed siebie, a przez to dzieci uniknęły śmierci. Ludzie potem mówili, że anieli z nieba czuwali nad tymi dziećmi i je w ten sposób uratowali.

Pewnego dnia na Zieleniaku pojawiła się krowa i nakarmiła mlekiem wiele niemowlaków, a żandarm, o dziwo, milczał i na to pozwalał.

Helenka też mogła nakarmić swoją córeczkę życiodajnym płynem, bo pokarmu już nie miała w piersiach i wody do picia też nie było. Tam, na Zieleniaku, w pewnej chwili do Helenki i Staszka dołączyła tajemnicza nieznajoma, proponując swoją pomoc przy niemowlakach. Okazało się potem, że była to pani Bogulińska, żona jednego z dowódców Powstania Warszawskiego, czynnie zaangażowanego w powstańcze akcje. W pierwszej chwili Helenka zwątpiła w tę bezinteresowną pomoc, jednak w końcu uwierzyła w szlachetne intencje nieznajomej.

Ta osoba po prostu w ten sposób ukrywała się przed ujawnieniem.

Znajomość i przywiązanie trwało od tej chwili aż do wyzwolenia obozu w Pruszkowie. Helenka powtarzała potem, że tego Anioła Stróża zesłał Bóg rodzinie w ciężkiej chwili.

Każdy z wygnańców zgromadzonych na Zieleniaku zastanawiał się nad przyszłym losem, aż pewnego dnia skupiono wszystkich i powiadomiono o wywóźce z Warszawy.

Wśród krzyków, nawoływań żandarmów i płaczu kobiet i dzieci nastąpił hodos wygnańców z Warszawy. Hodos to po prostu po grecku marsz. Z tego też bierze swą nazwę słowo exodus (wyprowadzenie, wyjście).

W chaosie, tumulcie, zgiełku, w nieładzie, a nie w szyku, pędzono ludzi ulicami Ochoty na Dworzec Zachodni. Po drodze widziano niesamowite obrazy i sceny. Helenka ze Staszkiem i niemowlętami też znaleźli się w jednej z grup.

Mnóstwo zabitych, leżących pokotem w rynsztokach, pełno krwi płynęło do kanalizacji. Na chodnikach i krawężnikach starcy i niedołęźni, ranni prosili i nawoływali o pomoc, ale kogo?

Każdy w tej chwili potrzebował tego wsparcia, więc wygnańcy mijali tych jeszcze żywych w milczeniu i bezradności. Te i kolejne sceny utkwily głęboko w sercach wypędzonych.

W wagonach bydłych było ciasno, duszno, bez okien. Ludzi przewożono głodnych, spragnionych wody.

Pędzeni pod batem, pejcem żandarmów przez Pruszków, nagle natknęliśmy się na kolejną naszą bliską osobę. Maria, siostra ojca, też znalazła się w tej gromadzie. Cały okres okupacji mieszkała w Warszawie. Podobnie jak jej starszy brat Janek, urodzona w Westfalii w Niemczech, posiadająca niemiecki Ausweiss, była chroniona i mogła przetrwać ten okres.

W hodosie wygnańców wzięło udział wiele tysięcy warszawiaków- nie tylko z terenu Woli i Ochoty, ale z różnych dzielnic, a po klęsce Powstania Warszawskiego zwiększono ilość wypędzonych. W rezultacie tłok w obozie w Pruszkowie był nie do zniesienia.

Wyglądało to przerażająco. Beznadziejność i zwątpienie widać było na twarzach wygnańców.

Bezdomni, głodni, z przeróżnymi tobołkami, zabranymi w pośpiechu z domów, prowadzeni przez żandarmów, pędzeni byli w nieznaną. Większość z dziećmi na rękach. Starcy i niedołęźni pozostali na miejscu, aby powoli umierać na ulicy, bo domy były doszczętnie zniszczone i zburzone przez okupanta i przez sowieckie wojska ulokowane na Pradze.

Helenka w tej nocy zdążyła ze sobą zabrać to, co dla niej było najcenniejsze, a więc córeczkę Danusię oraz różaniec, z którym się nie rozstawała od I Komunii Świętej, natomiast Staszek pierworodnego syna Konrada oraz medalik z Matką Boską „bez zmazy grzechu pierworodnego poczętą”, który otrzymał od swojej matki Rozalii, kiedy udawał się do wojska. No i ta zbiwienna, drogocenna poduszka, którą matce ofiarował dobroduszny maszynista parowozu stojącego na bocznicie kolejowej.

Wreszcie ostatni etap wędrówki wygnańców. Wprowadzano ich przez podwoje zdemolowanej fabryki i umieszczano gdziekolwiek na zaoliwionych podłogach. Hale fabryczne były ogołoczone z maszyn i dlatego ociekały oliwą i smarami.

Jakież było zdziwienie i zaskoczenie, kiedy obok Helenki, Staszka i Marii nagle pojawili się kolejni krewni: rodzinka Franka - brata Staszka, który został wcześniej, bo w maju 1942 roku zamordowany na Pawiaku. Byli to jego żona Genowefa oraz dwaj synowie: Kazik i Jurek. Zygmunta, najstarszego, już nie było, ponieważ zmarł na początku wojny w Warszawie.

Jak wyglądało życie, a właściwie wegetacja, tych

nieszczęśliwych w obozie Dulag 121 w Pruszkowie?

Dziesiątki tysięcy wygnańców stłoczono w kilku halach fabrycznych.

Helenka ze Staszkiem i dziećmi, zepchnięci w róg hali, mieli szczęście, ponieważ na tym skrawku na betonowej posadzce leżały drewniane kraty, na których się rozłożyli. Kraty służyły kiedyś ślusarzom i mechanikom przy pracy, bo na nich stało się przy urządzeniach i obrabiarkach, a nie na gołym betonie.

Brak miejsca i ciasnota powodowała, że spanie odbywało się na siedząco. Dzieci spały na kolanach i brzuchu, natomiast Staszek suszył pieluchy na swoich plecach. Noce były chłodne, więc poduszka ratowała niemowlę od utraty ciepła. Oczekiwano na deszcz, ponieważ był on zbawczy. Kto miał jakiegokolwiek naczynia, zbierał z kałuż i rynien wodę do picia. O myciu nie było mowy. Dla całej małej rodziny przygotowywano jakieś placki i wodę do picia. Helenka używała wtedy swoich niemowlaków, bo kiedy ustawiano się w kolejce po placki, to jedynie z małymi dziećmi na rękach można było je dostać. Pewnego razu Maria, siostra Staszka, wzięła na ręce małą Danusię i udała się do kolejki. Zagapiła się na moment, a dziecko dotknęło swoją rączką rozżarzonej płyty pieca, w wyniku czego doznało oparzenia, które długo się goiło i pozostawiło ślady na wiele lat. Nocami, ku przerażeniu wielu, widziano cienie śmiałków, którzy dachami uciekali na zewnątrz. Widać ich było poprzez wykusze w dachach, typowe dla fabryk i hal produkcyjnych, wykonane ze szkła, aby było jasniej wewnątrz.

Odważni warszawiacy, nie licząc się z niebezpieczeństwem i utratą życia, jak mogli przedostawali się na zewnątrz obozu, aby tylko uciec z piekła.

Pobyt wygnańców w tym obozie trwał tylko kilka miesięcy, ale dobitnie dał się we znaki. Kto był nieodporny na tak ekstremalne warunki, ginął lub psychicznie podupadał. Zerojedynkowa sytuacja, wszystko dla ratowania życia i zdrowia.

Konrad, syn Helenki, jak zresztą wszystkie dzieci, był ciągle głodny. W tak ciężkich warunkach i w czasie okupacji pierwszymi jego słowami były- oprócz „mama”- słowo „bomba”, bo nad nim bombowce zrzucały „krowy”, oraz „kibi solą”, bo o takim jedzeniu ciągle marzył. „Kibi” to pro-

stu skibka chleba, natomiast na cukier wołał „sól”, bo kromka chleba była często posypywana cukrem i polewana czymkolwiek: wodą, mlekiem, kawą. A więc i tu, w obozie, szloch i płacz przerywany był zawołaniami: „kibi solą”, „kibi solą”. Mała jego siostrzyczka nawet nie płakała, ponieważ była zbyt słaba i nie reagowała na te niedogodności i braki jedzenia i picia.

W piersiach matki też nie było pokarmu. Skoro tylko były warunki, to niemowlaki dostawały coś do jedzenia. Często przyrządzano placki z buraków i przegotowaną wodę, bo surowa nie była zdatna do picia.

Pobyt w obozie w Pruszkowie dobiegał końca. Z chwilą zmasowanych ataków Rosjan z powietrza i zbliżającej się ofensywy stopniowo uwalniano uwięzionych. I naszej rodzinie trafiła się namiastka szczęścia- wypuszczono ją. Przyszła upragniona wolność. Była to późna jesień i nagle znaleźli w Małszycach koło Łowicza, gdzie chwilowo zamieszkali u sołtysa tej wioski, pana Maciaszczyka.

Tam też nie było środków do życia, bo gospodarze sami klepali biedę, ale za to był dach nad głową i poślanie. W gospodarstwie zwykle można się było jakoś wyżywić. W okresie jesieni były nie tylko buraki, ale ziemniaki i czasem mleko, śmietana, sery i jaja. Staszek w tym czasie zachorował na zapalenie płuc i w stanie ciężkim nie był leczony, bo wszędzie było daleko, a dowóz do szpitala był niemożliwy. Zrozpaczona Helenka wędrowała pieszo po okolicy od wioski do wioski w poszukiwaniu apteki lub jakiegoś leku u ludzi.

Nadszedł wreszcie dzień wyzwolenia i powrotu w rodzinne strony. Pociągiem przez Zduńską Wolę dotarli do Ostrowa Wielkopolskiego, a potem do Ostrzeszowa. Wagon towarowy był odkryty, płaty śniegu sypały się na podróżnych. Mała Danusia umieszczona została w kartonie wyścielonym sianem i przykryta zdobytą podczas exodusu poduszką.

Helenka z rodziną ocalała z pożogi wojennej i okupacji, w której znalazła się przypadkowo i niespodzianie. Wyjechała przecież jeszcze przed wojną, kiedy w Polsce było normalnie i spokojnie. Nic nie zwiastowało przyszłej tragedii i grozy wojennej.

Wyjechała do stolicy, aby zbudować sobie świetlaną przyszłość w jej ukochanej i wymarzonej Warszawie.



Męża kochała nade wszystko, oczywiście ze wzajemnością. Miłość- dożgonna, niezakłamaną, cementowała się i trwała. Pomimo różnicy wieku kochali się i zjednoczeni w miłości przeżyli szczęśliwie te straszne chwile. Staszek odwzajemniał się i oddawał serce ukochanej. Troszczył się o rodzinę i dom, uwielbiał swoje dzieci.

Miłość ta i zaangażowanie miało swój wyraz na każdym kroku, bo nawet kichając wzywał ją „Hel-ciu, hel-ciu!” zamiast zwykłego „a psik, a psik!”

Wspomnienia tych wyjątkowych wydarzeń w ich życiu zostały zapisane w kronikach obozu przejściowego Dułag 121 w Pruszkowie oraz w muzeum Powstania Warszawskiego.

Konrad Kępa



Grzegorz Kosmala

MARZENIA PO TO SĄ, BY SIĘ SPEŁNIAŁY...

Wielu z nas w dzieciństwie ma różnorodne zainteresowania, chciałoby uprawiać w przyszłości wymarzoną profesję. Są ludzie, którzy swym uporem doprowadzają do realizacji marzeń z młodości! Grzegorz Kosmala na pewno do takich osób należy. Jako życiowe motto powtarza słowa: Fotografia narodziła się w sposób nieświadomy w głowie dziecka, któremu cud ocalił oko, dzięki czemu może do dziś patrzeć przez wizjer na świat i szukać świeżego spojrzenia w obrazowaniu rzeczywistości.

Trzeba mieć pasję, aby osiągnąć swe cele. Jestem fotografem: artystą i rzemieślnikiem. Zawsze wiedziałem, że chcę robić zdjęcia! Entuzjazm daje mi energię do tworzenia...

Pierwszym moim nauczycielem był Antoni Bajerlein, instruktor i mistrz fotografii. Wprowadzał w prace teoretyczne i praktyczne. Zaraził mnie fotografią. Chodziłem na spotkania sumiennie, nie opuszczałem żadnych zajęć w klubie fotograficznym KADR. Byłem najmłodszym uczestnikiem, a koledzy mieli z pięć lat więcej. W sumie było nas osiem osób. Lekcje kończyły się wyjściem w teren i robieniem zdjęć. Do klubu wpadał także wielki artysta regionalny Czesław Bojszczak, który robił wspaniałe zdjęcia w dużym formacie. Potrafił rozmawiać i miał podejście do młodzieży, umiał nas zainspirować. Pamiętam swoją pierwszą fotografię - otrzymałem rolkę filmu i wykonałem zdjęcie na pożyczonym od ojca aparacie fotograficznym. Wtedy, wiosną 1987 r., pan Antoni Bajerlein zaakceptował je jako utrzymane na poziomie artystycznym! Mam je do dzisiaj, ponieważ to jedno z ważniejszych dla mnie zdjęć. Gdy miałem 13 lat, a był to rok 1988, zostałem

wybrany do do serwisu fotograficznego na obozie harcerskim. Cały miesiąc (wspaniała możliwość wakacji) na polach Grunwaldu! Było to dla mnie bardzo ważne zadanie. Wybrał mnie Darek Wrzalski, który przekazywał mi sporo wiedzy: jak pracować w ciemni, jak rozrabiać chemiczne płyny itp. Znając mnie i moją sumienność, stwierdził, że mogę mu być pomocny. Był z nami również Jacek Dembski, starszy ode mnie o pięć lat- pracował na tym obozie w ciemni. Najważniejszą jednak osobą był Antoni Bajerlein, człowiek wspaniały. Darek Wrzalski w chwilach luzu mówił mi: Ty, mały Kosmala, coś z ciebie będzie! Żartował, a ja przyjmowałem jego słowa z radością. To on zauważył, że chociaż byłem najmłodszy i najmniejszy - rokowałem nadzieje. Wszystko trwało krótko, ale to był wspaniały czas. Niestety, w roku 1988 pan Antoni Bajerlein, który mieszkał w Kępnie, miał wylew, potem drugi... Odwiedzałem go, informując, że klub działa, opowiadałem, co robimy... W tym czasie zaczęły się różne zawirowania w Polsce oraz w samym FUM-ie, który wraz z Domem Kultury w dużym stopniu finansował działalność naszego klubu. Zaczęło się robić nieciekawie. Antoni Bajerlein po wylewach nie wrócił do pełnej sprawno-

ści fizycznej oraz płynności w mowie, co utrudniało wykłady. Przychodził coraz rzadziej na zajęcia i pod koniec roku 1988 zrezygnował z prowadzenia klubu KADR. Po roku 1989 zajęcia prowadził Darek Wrzalski. Niestety, niespokojne czasy miały duży wpływ na działalność klubu. Coraz trudniej było zdobyć materiały, odczynniki, a my, młodzi ludzie, nie mieliśmy możliwości jego finansowania. Klub KADR zlikwidowano w roku 1990. Był to bardzo przykry moment dla nas, entuzjastów fotografii. Praktycznie każdy został sam i musiał dać sobie radę. Od września 1990 roku poszedłem do technikum przy FUM-ie. Przestałem fotografować głównie ze względów finansowych, lecz pozostałem wierny mojej drugiej pasji, piłce nożnej, którą zacząłem trenować równoległe z działaniem w klubie fotograficznym. Przez ten czas narastała we mnie tęsknota do fotografii i w III klasie technikum udało mi się zakupić aparat, mojego pierwszego Nikona F60. Radość wielka: zacząłem ponownie robić zdjęcia i za zgodą rodziców na strychu domu zrobiłem ciemnię oraz pomieszczenie na moje fotografie. Tak się zaczął najbardziej pracowity okres pracy z fotografią czarno-białą. Spotykałem się z kolegami: Bartkiem Szmajem i Sławkiem Smolarkiem. (Wcześniej też byli w klubie, ale krótko). W piątej klasie technikum działaliśmy dość intensywnie w trójkę. Swoje prace wywoływaliśmy na strychu. W tym czasie kolega z klubu, Olek Dembski, teraz reżyser, też do nas wpadł i korzystał z ciemni. Trzeba zaznaczyć, że prowadzony przez A. Bajerlaina fotograficzny KADR skupiał wspaniałych fotografików. Miło wymienić te nazwiska: E. Haladyn, Cz. Bojszczak, P. Zajfert, Krysiak, Sołtys, p. Missala, O. Dembski, S. Smolarek. Muszę też z czasów technikum wspomnieć wspaniałych nauczycieli, którzy potrafili nas prowadzić, kształtowali charaktery. Pomagali w rozwijaniu zainteresowań.

Postanowiłem zdawać na fotografię do Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Przygotowywałem się sam, czytając książki na temat historii fotografii, chemii i odczynników. Do egzaminów również trzeba było mieć przygotowaną - oprócz wiedzy - teczkę autorską z zestawem ok. 20 fotografii: pejzaży i portretów. Z tego co wiem, startowało 10 osób na jedno miejsce, ale udało mi się dostać. Byłem pierwszą osobą z naszych stron na tym kierunku. Razem ze mną na roku studiowała m. in. Iza Jaroszevska - dzisiaj znana i ceniona postać w polskiej fotografii. Naszym nauczycielem akademickim był profesor Stefan Wojnecki, który wykładał historię fotografii. Po dostaniu się na studia przygotowałem z kolegami pierwszą wystawę w Ostrzeszowie pod tytułem "Zestaw autorski". Wernisaż odbył się 1 maja 1996 w Ratuszu. Przyszło dużo ludzi - cieszyło



100-lecie „Gazety Ostrzeszowskiej”, jubileusz w stylu retro, 3 maja 2019 r.

nas to zainteresowanie. Dla naszej trójki było to podsumowanie dotychczasowej działalności. Wspominam też dobrze rok 1996, dlatego że byłem przy narodzinach "Czasu Ostrzeszowskiego". Pismo zakładał Damian Ślak. Pracowałem również dla „Ziemi Kaliskiej” i „Gazety Poznańskiej.” W 1997 r. zostałem zatrudniony w „Czasie Ostrzeszowskim” na pół roku. Zatrudnienie to dało mi dużo satysfakcji, umożliwiło poznanie pracy redaktora oraz było okazją do wspierania regionalizmu. Obsługiwałem serwis fotograficzny redakcji. W Poznaniu pracowałem dla agencji reklamowych. Dzięki temu poznałem mechanizmy pracy w reklamie. Pracowałem dla takich znaczących firm, jak: Amino- Knorr oraz dla WBK- przy plakacie promującym ten bank inspirowałem się twórczością Avedona, wybitnego fotografa światowej sławy (np. kalendarze dla Pirelli). W czasie studiów jako grupa studencka prezentowaliśmy swe prace zbiorowo w Poznaniu (11.04.1997) oraz w Krakowie. W zaproszeniu na wystawy napisano, że w naszych zdjęciach „odnaleźć można ślady prawdziwej pasji twórczej oraz bezspornego talentu. Czasami można nawet mówić o osobowościach, które już znalazły swój wyraz twórczy”. Wymieniono nas: Kosmala, Jaroszevska, Radziejewska, Makowski, Bronikowska z adnotacją, że są to nazwiska „uznanych już fotografów”. Czas biegnie.

W 1999 roku ze Sławkiem Smolarkiem wystawiamy w ostrzeszowskim Ratuszu prace dyplomowe oraz otwieramy w Inkubatorze Przedsiębiorczości studio fotografii reklamowej "6x6". W sierpniu 1999 r. biorę ślub i muszę myśleć o pracach zarobkowych na utrzymanie rodziny, więc kieruję swe zdolności bardziej w kierunku fotografii reklamowej. Jednak okres lat 1999 - 2003 nie jest łatwy, muszę odejść na czas jakiś od fotografii artystycznej, która nie przynosi dochodów. Dlatego w roku 2000 zaczynam przebudowę i remont zakładu. To, co potrafię, staram się

robić sam, aby koszty były jak najmniejsze. Rozważam, czy nie wyjechać zarobkowo, ale rodzina trzyma mnie jednak na miejscu, muszę bliskim zapewnić byt. Znam ten region i - jak sądzę - mam dużo pomysłów i projektów. Chcę stworzyć coś tu, gdzie mieszkam - to taka moja myśl przewodnia.

W roku 2005 powstało moje własne "STUDIO 6x6". Ponieważ nazwa jest znakiem rozpoznawczym, dlatego pragnę ją wytłumaczyć. Otóż pracując jako reporter i fotograf reklamowy, wyrobiłem w sobie pewien nawyk - przekonałem się, że lubię najbardziej komponowanie fotografii w kwadracie 6x6. To jest mój ulubiony format, szczególnie gdy robię zdjęcia czarno - białe. Zakupiłem pierwszego Rolleiflexa (świetny aparat), który ma kadr w formacie kwadratu 6x6. Stąd nazwa mojego studia. W tym czasie zacząłem zbierać aparaty fotograficzne.

Inspiracją do tej kolekcji był prezent od wielkiego artysty Edzia Haladyna, który podarował mi mały zbytkowy aparat Sida i zasugerował, że mógłbym pokazać w studio kilka starych aparatów. Świetna sugestia. Skromna kolekcja służy mi również do celów dydaktycznych: często się zdarza, że wspólnie z moim kolegą Stanisławem Kulawiakiem prowadzimy małe warsztaty fotograficzne i wtedy można przekrojowo na wybranych modelach pokazać, jak się zmieniała technologia w fotografii, a także - co najważniejsze - że w aparacie camera obscura świat jest wywrócony do góry nogami, o czym dzisiejsza młodzież nie wie, bo nie miała do czynienia z fotografią analogową. Mając to na względzie, w ramach działalności stowarzyszenia WIEŻA ROD 1916 zbudowaliśmy z przyjaciółmi dużą camera obscura, którą prezentujemy czasami publicznie na Rynku w Ostrzeszowie podczas wystawy fotografów. Do kamery można wejść w kilka osób i zobaczyć, jak powstaje obraz rzutowany na ściany przez otwór. To wspaniały model pokazujący pracę aparatu fotograficznego.

W latach 2004 - 2009 swoją pasję fotografowania próbowałem przekazać innym, prowadząc warsztaty fotografii "1/15" przy OCK w Ostrzeszowie. Z młodzieżą zorganizowałem kilka wystaw. Kilku osobom pozwoliło to na odkrycie u siebie pasji fotografowania. Np. Bartek Busz jest moim odkryciem i prawdziwym talentem; potrafi samodzielnie pracować i zdobywać sukcesy. Pierwsza nasza ekspozycja „Para 2005 Baszta” pokazywała twórczość młodych artystów działających przy OCK. Następna wystawa „Blenda z Krotoszyńska i 1/15 Ostrzeszów” odbyła się w październiku 2006. W lutym 2009 roku

miała miejsce wystawa w OCK „Zestawy autorskie” i w tymże roku zakończono działalność klubu „1/15”.

Od 2005 roku ściśle współpracuję ze Stanisławem Kulawiakiem i oficyną KULAWIAK. Z tej współpracy zrodziły się dobre projekty artystyczne: Regionalny kalendarz na rok 2009, Piękno kościołków drewnianych - kalendarz 2012, Krajeński Park Narodowy - album przyrodniczy, widokówki z miasta i regionu oraz inne ciekawe projekty. Współpraca trwa. Nie muszę pracować tylko rzemieślniczo, ale chcę znaleźć czas na odpoczynek, różne projekty. Czas dla swego artystycznego ducha...

Od 2018 jestem członkiem ZPAF jako pracę wprowadzającą zrealizowałem projekt Strefy Widzenia. Wykorzystuję do tego aparat Sinar 4x5 cala, który pozwala od-

naleźć całkiem inną, magiczną przestrzeń, uchwycić, pokazać rzeczywisty obraz, który widzi nasze oko. Tym aparatem wykonałem ciekawe zdjęcia do kalendarza "Strefa widzenia". Projekt autorski ma służyć do zbioru fotografii architektury "Wiatraki polskie". Będę się starał stworzyć coś przyjemnego w stylu fotografii wielkoformatowej i klasycznej. Dla mnie najważniejsza jest fotografia czarno - biała na klasycznym negatywie oraz fotografia artystyczna bez zniekształceń i zakłamań, żeby nie można było manipulować obrazem. W roku 2010, wspólnie ze St. Kulawiakiem, zainicjonowaliśmy działalność Stowarzyszenia WIEŻA 1916, które ma skupić różnych twórców - artystów z regionu. Jednym z tematów naszych działań są spotkania miłośników fotografii. Obecnie w stowarzyszeniu Pod Wieżą 1916 trwają prace nad albumem o moim mistrzu Antonim Bajerlenie (patrz info: www.wieza1916.pl oraz www.studio6x6.pl).

Spotkania te trwają do dzisiaj; rozmawiamy o zdjęciach, robimy wystawy. W marcu 2014 roku w Stuhr (Niemcy) odbyła się Regionalna I Wystawa Fotografów - aktualna prezentacja kondycji fotografii w Ostrzeszowie. Jednak naszym końcowym celem jest, aby zabytkową wieżę ciśnien zaadaptować na miejsce kultury - szeroko rozumianej działalności artystycznej regionu. Wierzmy, że dokonamy tego tylko przy wsparciu naszych władz.

Od siebie dodam tylko, że podziwiam talent pana Grzegorza oraz jego upór w realizowaniu życiowej pasji. Polecam wszystkim artyzm i wysoki poziom Studia 6x6.

Rozmawiał: Wiesław Kaczmarek,
foto. Wiesław Kaczmarek

